

PIOTR JEDLIŃSKI

WIEDZMY  
Z DECHOWIC

---

I LIGA NIEZWYKŁYCH DŻENTELMAGÓW

Dla Niki

Copyright © 2023 PIOTR JEDLIŃSKI  
All rights reserved / Wszelkie prawa zastrzeżone

Copyright © 2023 WYDAWNICTWO INITIUM  
Wszelkie prawa zastrzeżone

Redakcja i korekta: KATARZYNA KUSOJC  
Ilustracja okładkowa: PIOTR SOKOŁOWSKI  
DTP: PATRYK LUBAS  
Współpraca organizacyjna: ANITA BRYLEWSKA  
Konsultacje: IZABELA NESTIORUK-NAROJEK

WYDANIE I

ISBN 978-83-67545-27-3



Wydawnictwo INITIUM

[www.initium.pl](http://www.initium.pl)

e-mail: [initium@initium.pl](mailto:initium@initium.pl)

[facebook.com/wydawnictwo.initium](https://facebook.com/wydawnictwo.initium)

Druk i oprawa: DRUKARNIA READ ME

PIOTR JEDLIŃSKI

WIEDZMY  
Z DECHOWIC

I LIGA NIEZWYKŁYCH DŻENTELMAGÓW



KRAKÓW 2023



# AKT PIERWSZY NAWIEDZENIE Z PLUJONA

*Najważniej powinno się wypatrywać nieoczekiwanego.*

Neal Stephenson, *Peanatema*



# O ŻAŁOBNYM POCZĄTKU

Nowy rozdział w historii Lucyny Kornikowej rozpoczął się od tego, że Lucyna Kornikowa umarła. Nikt w Dechowicach nie miał co do tego żadnych wątpliwości. Wieść o zgonie naczelnej plotkary rozniosła się po wsi błyskawicznie, równie prędko, jak rozchodziły się kalumnie i konfabulacje, jeszcze niedawno hurtem produkowane przez samą denatkę. Niełatwo jednak było wskazać źródło sensacyjnej wiadomości; mogło się zdawać, że pewnego marcowego dnia, a konkretniej rankiem po równonocy wiosennej, każdy obywatel Dechowic zwlekł się z łóżka z wiedzą o zejściu pani Kornikowej zadowoloną na dobre pod własną czaszką.

Nie dziwota, że kwestia nieboszczki zdominowała rozmowy w całej wsi.



– Oj, szkoda biedaczynki, szkoda, że tak nagle zesła – mamrotała pani Heleńczykowa, po raz tysięczny przecierając oczy, suche już jak Atakama. – Ale Lucyna sama się o to prosiła tymi rajdami po wiosce. Powtarzałam jej: niech pani nie dyga na mrozie w klapkach, niech pani wdzieje coś grubszego niż ta kurteczka-falbaneczka, niech pani nie dulda zimnego na zimnym! Ale uparciuchy nie zreformujesz. I proszę – taka zimnolubka, a po zapaleniu płuc spocznie w chłodnej ziemi.

– Dopiero wręczałam jej prezent na sześćdziesiątkę... – wzdychał Janko Cebulnik, drugowojenny ekspert samouk,

a przy tym kombatant samozwaniec. – Żal takiej młodej dziewczuchy. Mogła jeszcze pożyć, gdyby tylko nie zadławiła się ością...

– Nudno teraz będzie – skwitowali sprawę panowie Szwagier & Szwagier, z braku pilnych zleceń budowlano-wykończeniowych od rana przesiadujący w Pasikoniku, czyli miejscowym spożywcza. – Nudno, bo ludzie są zbyt mili i nawet jeśli gadają za plecami, to jakoś bez przekonania. Kornikowa miała przyłożenie. Walila plotką jak piąchą, bez najmniejszego wstydu, na cały regulator! I jeszcze wciągała innych w to obgadywanie! Szkoda, że tak nieszczęśliwie się poślizgnęła...

– Ach, kuzynko, kuzynko! Czemuś mnie opuściła?! – lamentował Irek Żurawin, współlokator i kuzyn Lucyny Kornikowej, od świtu włóczący się po rogatkach wsi; formalnie był trzeźwy, a jednak lawirował iście wódczanym kursem. – Czemuś mnie opuściłaś, kuzyna marnotrawnego...! Czemuś wydoiła tyle spiryta na jeden raz...!

Trzy najlepsze koleżanki Lucyny, tworzące tajemny, lokalny krąg, prawie nie rozprawiały na ten przygnębiający temat; w słowach nie zadźwięczałyby symfonia skonfliktowanych odczuć. Panie Mirka, Elżbietka i Michalina ograniczyły się do wzdychnięć, „echów” i „ajajów”.

– Lucynka... Byłaś najmłodsza z nas, a padło na ciebie.

– A do tego pożegnałyśmy się na złej stopie, ty wredna, ale kochana zołzo. Ech, ech!

– Ajajaj. Taka młodzinka!

Zgon Lucyny Kornikowej skomentował w kościele ksiądz Podolski. Wzniósł przemowę wygłosił również sołtys Lech Kroleski, rozmiłowany w rzadkich okazjach do popłynięcia z patosem. W Dechowicach gadano różne rzeczy. Że Kornik-



kowa zmarła tak albo siak. Że zginęła nagle i nieszczęśliwie, ale może spokojnie i zgodnie z oczekiwaniami...

Popołudniem zebrano się na stypę; spontaniczność konsolacyjna była arcyciekawa, bo jakoś ze cztery tuziny ludzi zjawili się bez uprzednich ustaleń na działeczce Kornikowej, obok jej ruderowanego domu, na który z wierzchu składały się przede wszystkim blachy oraz plandeki. Co więcej, ani jeden z żałobników nie pamiętał samego pogrzebu – a wśród zgromadzonych ani jeden nie łamał sobie głowy nad dziwnością tej zbiorowej amnezji.

Była godzina siedemnasta; porównonocne słońeczko, dopiero co odniósłszy zwycięstwo nad długą zimą, ładnie przyświecało, a tłumek żałobników wspominał nieboszczkę i zajał, co kto przyniósł. I być może dziwność sytuacji rozwiałaby się w tych leniwych rozmówkach... może żałobnicy o zmroku rozeszliby się do domów, uznawszy, że spełnili obowiązek, a Kornikowa, chociaż wcale niezłożona do trumny, została jednak należycie pożegnana...

Może do tego właśnie by doszło – gdyby nie fakt, że świętej pamięci Lucyna postanowiła zjawić się na własnej stypie i bezceremonialnie zepsuć nastrój.

– Ejże! Ludziska! Co was tak gęsto jak mrówek?! Nie mieliście gdzie się złazić, tylko w moje pokrzywiska?! Irek, pogoń tę bandę! I leć do Pasikonika po więcej ibupromów, łeb mnie zaraz eksploduje od tego zafajdanego gнома! I jeszcze cholerny Pluton...!

Pięćdziesiątka ludzi jak na komendę obróciła się w stronę źródła głosu.

Z jedyne go porządnego okna, jakie posiadała rudera, wychylała się rozczochrana siwa głowa dobrze wszystkim znanej kobiety.

W tłumie pomruczano.

W tłumie zaszepciano.

Lucyna Kornikowa zachnęła się głośno.

– A poszli!

Potem zniknęła w domu.

Łoskot zatrzaskiwanego okna jak gdyby zdjął z ludzi czar. Pięćdziesiąt osób przemogło stupor; wszyscy zgodnie odwrócili się i opuścili działkę, kierując się przez trawiaste pole z powrotem do wsi...

Z drugiej strony to było tak, jakby na żałobników spadł nowy urok – bo wszyscy milczeli jak zakłęci.

# O MAJAKACH TELEWIZYJNYCH

Żeby pojąć, jak Lucyna Kornikowa podolała zmartwychwstaniu, należałoby się pochylić nad przedpoczątkiem tej kuriozalnej historii.



Dzień wcześniej, w trakcie wiosennej równonocy – prominentnej daty w kalendarzach wielu wtajemniczonych – Lucyna Kornikowa nie wyszła z domu mimo usilnych perswazji ze strony koleżanek. Odmówiła spacerku na wzgórze mocy; odmówiła wspólnego zaintonowania piosenek z kanonu *Wiccum Sabaticcum*; odmówiła wreszcie najzwyczajszego spotkania towarzyskiego – nie skusiły jej nalewki Michaliny, wypieki Elżbietki ani kino domowe Mirki. Na dzień przed swoim czyżby-zgonem i przerwana stypą Lucyna Kornikowa zabunkrowała się w domowej fortecy, a wszystko dlatego, że najzwyczajniej w świecie rozboleła ją głowa.

Normalnie nie stanowiło to problemu. Ale tym razem Lucynie nie pomógł zimny okład. Ani tabletki łykane z taką częstotliwością, że farmaceuta na sam widok doznałby migreny. Nijak nie mogły uradzić tajemne konkocje, przyrządzane w tajemnicy miksturki ziołowo-alkoholowe; i mimo że Lucyna, wędrując wzdłuż baterii stu flaszek, łyknęła ich trochę, zagryzła też uzdrowicielskim ogórkiem, to jej skronie wciąż ściskało niewidzialne imadło, w potylicę waliła wiertarka udarowa, ba, nawet cebulki włosów zdawały się płońć! Jakby ktoś robił na jej głowie popcorn.

– Masz babo placek – mruzczała pod nosem, przechadzając się po zagraconym mieszkaniu. Żeby zająć głowę czymś innym niż przeprowadzane pod czaszką testy atomowe, Lucyna przemogła się i zabrała do roboty. To znaczy – wzięła się do podglądactwa.

Po byle jak skleconych schodkach chciała wejść do nadbudówki na dachu, czyli gniazda nałogowej wypatrywaczki; mało nie zleciała z wąskich stopni. Jej pękata sylwetka, jasno świadcząca o zamiłowaniu do jedzenia, na moment zakolebała się, grożąc runięciem na łeb na szyję.

Kornikowa przemogła zawroty głowy. Jakoś dowlokła się do okienka, z którego miała widok na resztę ulicy, na nieodległe gospodarstwo Karkolaków, na leżący za ugorami środek wsi, i jeszcze na nowe osiedle, chociaż do niego z każdym miesiącem traciła dostęp, bo wstydlive mieszcuchy oszańcowały się kolumnadą tui.

Zasiadłszy na wymemłanym fotelu, Kornikowa zabrała się do lornetowania okolicy. Dosłownie – podniosła z parapetu myśliwską lornetkę, i rach-ciach, już sięgała wzrokiem tam, gdzie jej nie chciano. O, proszę, jaka zbieranina pod Pasikonikiem. Czy to nie Wacek Michun? Znowu udowadnia, że policja świetnie integruje się ze zwykłym obywatelem, bo funkcjonariusz właśnie przepija do lokalnych mętów! A tam: zakutana w eskimoskie kurty Heleńczykowa, starannie omijająca szczeliny między płytami chodnikowymi, wieczna panikara, marudząca na sam widok Kornikowej, kiedy ta żwawo sprintuje po wiosce. Dalej: dom profesora Mirosława, człowieka rezonansu albo renosansu... czy jak go tam wołają. W opinii Lucyny Mirosław był okropnym pozerem, bo która akademicka szycha skazałaby się na rolę nauczyciela w zapadłej

wiosce gdzieś na Pojezierzu Myśliborskim? Ponadto Mirosław okazał się zaskakująco odporny na wszelkie kłamstewka, jakie Kornikowa próbowała o nim opowiedzieć – najwidoczniej w narodzie istniał kompleks mędrców, skoro nikt nie myślał o szkalowaniu miejscowego profesora...

No ale – cóż to takiego? Ktoś kręcił się w urządzonym na japońską modłę ogródku Mirosława. Konkretniej: dwóch ktosiów. Mirosław oraz jakiś typek: wysoki, garniturowy, biznesmenowy. A przecież profesor zwykle nie przyjmował gości w swojej „Waldenowskiej pustelni”, jak ochrzcił dom w Dechowicach. Hmm, to już jakaś zahaczka pod kątem przyszłej ploteczki!

Obserwowany przez lornetkę obcy raptem odwrócił się i spojrzał prosto w okular Kornikowej.

– Coś ty za jeden, bratku? – wymamrotała Lucyna.

Tamten błysnął zębami.

I nagle jak błysnęło Kornikowej w oczach!

Musiała zsunąć się z fotela i na moment stracić przytomność. Uch! Jaka ciemnica w domu i zagrodzie! Przez moment wszystko zdawało jej się zamroczone, zasmolone, jakby świat przepadł, zastąpiony cienistym odbiciem... Jakby korzystając ze słabnącej bariery, nadwątlonej magiczną datą równonocy, coś przeciskało się na świat zza kurtyny eteru...

Ale nie – to po prostu zapadał wieczór. Kornikowa straciła przytomność na dobrych siedem godzin.



Siedem godzin nieodczuwania bólu w skołatanej łepetynie – nie taki zły *deal*. Gorzej, że co odwleczone, to nieucieczne, bo po przebudzeniu Lucyna czuła się, jakby pozbawiony gustu sąsiad puszczał gitarową sieczkę na pełny regulator albo jakby w jej mózgu załagał się jakiś wredny gnom z wuwuzelą.

Żeby szybciej dojść do siebie, zdzieliła się w jedno ucho, potem zdzieliła w drugie; jak gdyby grała w migrenowego ping-ponga, bo siedzący pod czaszką gnom co najwyżej się przemieścił, nadal dmąc w trąby jerychońskie.

– Ja cię wytelepię! – przyobiecała Lucyna, złącząc z powrotem na parter. – Ja cię jeszcze wykurzę!

Do wykurzania zabrała się w saloniku, gdzie pośród tysiąca bibelotów stał sześćdziesięciocalowy telewizor, tchnienie nowoczesności w zrujnowanym otoczeniu. Naprzeciw mieściła się pozdzierana sofa, miejsce cowieczornego rytuału, jaki odprawiał drugi lokator domu, Irek Żurawin. Jednak dzisiaj Irek nie stawiał się na telewizyjnym posterunku.

– Gdzie ty się podziewasz, kuzynku? – mamrotała Kornikowa, odkopując pilota spod warstw folii bąbelkowej. Zabrakło jej sił nawet na marudzenie. Może to lepiej, że Irek zagubił się w tranzycie ze sklepu monopolowego do domu – czego jak czego, ale Lucyna nie chciała demonstrować przed nikim słabości.

Następnie zaczęła odprawiać rytuał wykurzania hałasu z głowy.

Zamiast magusowej różdżki, niecodzownej przy ceremonialnych zaklęciach – Kornikowa wzięła do ręki pilot od TV.

Najpierw wcisnęła ON.

Potem klikała dalej, na chybił trafił; zatrzymała się na jakimś błyskającym muzykowaniu, które wyglądało na powtórkę z sylwestra – program wydawał się nie na miejscu u przedproża wiosny...

Wdusiła VOLUME do oporu.

Głośniki – odziedziczone po Mirce, której zięć dorobkiewicz co rusz zakupywał nowiuški sprzęt – łupnęły dyskotekowo.

Ogień zwalczaj ogniem!

Kornikowa, która wcześniej omal nie oślepla, teraz prawie ogłuchła. Może faktycznie straciła słuch, bo nie słyszała nawet własnego głosu, a przecież zanosila się śmiechem, chichocząc z marnego losu, jaki czekał natrętnego gnoma; jeśli sam dostanie po uszach hałasem, to przestanie grać hejnał w jej głowie! Kornikowa chichotała jak hiena, chichotała wręcz do rozpuku, chichotała jak – nie przymierzając – stara wiedźma, która właśnie odgrzewała sobie potrawkę z Jasia i Małgosi...

...a Kornikowa była przecież autentyczną wiedźmą – jedną z czterech w Dechowicach, dodatkiem do triumwiratu Mirki, Elżbietki i Michaliny – czwartym kołem u trójkołowej rikszy. Śmianie się w ten sposób nie było dobrą wróżbą.

Zanim trzeźwa myśl zwyciężyła, a Kornikowa uzmysłowiła sobie, że jest półprzytomna – gorączka buchnęła ze zdwojoną siłą.

– Oj – powiedziała Lucyna. A potem zemdlala... i wpadła do telewizora.



Wyrzucona z mieszkania, wchłonięta w kalejdoskop kanałów – tak się właśnie poczuła. Z naświetlonej reflektorami sylwestrowej sceny Lucyna przetańczyła na zatłoczonej ulicy. Wszędzie wokół niej klaksony i spaliny, bo to było jakieś naprawdę wielkie miasto, nie żaden tam okoliczny Gorzów albo tramwajowe wygwizdowo nazywane Szczecinem.

Okropne, pomyślała sobie Kornikowa, po czym zdecydowała, że w sumie nie podoba jej się ten sen. Dlatego dosiadła miejskiego roweru, odpaliła nitro i poleciała w kosmos.

Fruuu!

A tam, w kosmosie, jakieś mądre głowy paplały o tym, że ukradziono Plutona. Pluton był planetą, chociaż nie był planetą, ale może znowu będzie planetą? Kornikowej nie podobało się, że ktoś tak pomiata biednym Plutonem; ona sama średnio znała się na astronomii albo astrologii (Gwiazdę Polarną znajdowała wszędzie, tylko nie na północy), lecz żywiła ogromny szacunek do mądrości ciał niebieskich, w końcu to one spoglądały na Ziemię od millenniów, tak samo jak Lucyna zwykła taksować z wysoka Dechowice – gwiazdy to ultimatywni podglądacze.

Kornikowa zakręciła gdzieś za Jowiszem i ruszyła na obrzeża Układu Słonecznego, lodowaciejąc skrawek po skrawku. Po drodze zadawała sobie ważne pytania: Czym w ogóle jest to okropne zimno? Czym jest międzygwiazdna ciemność? Czym jest pustka wokół? Czy pustka w ogóle *jest*? No i gdzie się podział pilot od sennego telewizora, cholera jasna, bo te galaktyczne próżnie są strasznie nudne!

(Pyk! Wciśnięty na oślep guzik).

Lucyna zleciała z kosmosu na jakieś słoneczne podwórko. Powitał ją odźwierny – opalony człowiek w szacie wyglądającej jak toga, z biżuterią z brązu, do tego noszący na czole coś w rodzaju trzeciego oka: była to trzepocząca błona w kształcie trójkąta. Facet trzymał w dłoni sękatą pałę. Tędy, tędy! – zachęcał gestem. Śniąca Lucyna niczego nie kwestionowała, tylko poszła za tym obcym człekiem...

Weszli prosto w zaułek, gdzie na głowy spadł im jakiś paskudny rozbójnik.

Mężczyzna w todze zamachał bronią i odstraszył wroga.

– Argument siły jest najsilniejszym argumentem! – wykrzyknął. Potem uśmiechnął się do Lucyny. – Witaj, wielka kłamczucho. Nie bój się. Tutaj spotkasz tylko samych swoich.



Wiem, co mówię, bo mówię to ja, Przeciw-Mędrzec, Fałszywy Potępieniec, Dziejowa Swatka – Antykrates!

Kornikowa parsknęła. Brodacz uniesieniem maczugi wskazał jej dalszą drogę, na sąsiednie podwórko.

– Tutaj cię zostawię. Będziesz miała dobre towarzystwo...

Wokół podwórka wznosiły się kanciaste domki. Tu spacerowała koza, tam prężyła się kolumienka, a na środku placu stał Pluton. Albo ktoś o podobnym imieniu. Mężczyzna tak się Lucynie przedstawił: Pluto, Pleto, Plato, kto by go tam zrozumiał. Typek paplał po grecku, a przecież greka dawno ustąpiła miejsca łacinie – zarówno w świecie magusów, jak i wśród. Grek był trochę podobny do poprzedniego nieznanego. Brodaty jak drwal i szeroki jak zapaśnik. Mrugał znacząco do Kornikowej. Jego oczy błyszczały niczym para nadmorskich latarni. Lucyna, chociaż miała swoje lata i chociaż swoją porcję męsko-damskich szaleństw zdążyła niegdyś przerobić, spłonila się jak piwonia. Oj tak, imponowała jej olimpijska sylwetka tego mrugliwego Greka...

...wtedy, dzięki Bogu i wszystkim pogańskim panteonom, Lucyna się obudziła.



Telewizor już nie nadawał ogłuszająco, w trakcie majaków musiała wdusić MUTE. Ale co to były za majaki! Śniła o nicestwiejących planetach i opalonych Grekach... Uch!

Gorzej, że znowu straciła długie godziny – ba, całą noc, a nawet więcej. Zegarek pokazywał południe. Głowa Lucyny jak pękała, tak nadal groziła detonacją.

Nagle zadzwonił telefon. Dzwonek-tortura!

Lucyna odebrała.

– Halo! Czego!

– A niczego, zupełnie niczego, siostrzyczko – odpowiedział głos po drugiej stronie. Kobięcy głosik, prowokacyjny i zadufany. – Dzwonię do ciebie, bo wiem, że odbierzesz. Główna nadal cię łupie?

– Ano strasznie łupie, tylko skąd ty o tym wiesz...?

– Bo sama z tej głowy wylazłam! Wskoczyłam jak Atena z czerepu Zeusa... Ha, żeby Antykrates o tym usłyszał! Byłby się zeźlił!

– Że co?

– Hm. W sumie to jeszcze nico.

– Więc po kiego mnie męczysz?! – zajęczała Kornikowa.

– Czy ja cię męcę, siostrzyczko? Czy martwego można męczyć? A przecież ty jesteś trupkiem! Plotka o twoim zgonie poszła w świat! Hie, hie!

Na tym rozmowa się zakończyła.

Lucyna powoluśku odłożyła telefon, jakby miała do czynienia z paczką nitrogliceryny.

Zaparzyła sobie herbatę. Gwizdanie czajnika mało nie zważyło jej na podłogę.

Przyszła czas, aby wziąć się w garść i przemyśleć cały ten ambaras.

Było pewne jak dwa równa się dwa, że ktoś ją przeklął.

Lucyna wiedźmowała już od lat osiemdziesiątych, ba, jeszcze za czasów Gierka, będąc małą, dała się poznać jako istny samorodek czarownictwa. Może nie przeżyła stu lat miotana tumultami Historii, jak Michalina, może nie zjeździła Azji czy Afryki, jak to zrobiła Mirka, finansowana przez nadzianą rodzinę, ale Kornikowa i tak spotkała się z tabunem interesujących postaci, wśród których zyskała sobie kilku wro-

gów. Na przykład podczas odbywających się co sześć lat ogólnopolskich Sabatów.

Najoczywistszy z tego wniosek: któraś z niekochanych koleżanek Kornikowej, jakaś obsesyjna zazdrośnica, wykorzystwała równonoc, skubnęła coś niecoś z naturalnego dla tej daty przyływu mocy – i szast! *abra-kadabra, jantar-mantar* – stąd wziął się ból głowy, stąd stracona doba i stąd nachodzące Lucynę sny-dziwadła.

Obwiniała już gnoma z wuwuzelą, teraz oskarżała anonimową koleżankę po fachu... ale wtedy Kornikowej przypominał się jeszcze jeden podejrzany.

– Ten gostek w ogrodzie profesora... – mruknęła do siebie, siorbiąc gorącego tetleya. – Pan w Armanim... Pan błyszczące ząbki... Czemu na mnie spojrzaleś? Jak żeś wyczuł, że cię podpatruję, szczwaniuro?

Co prawda, głos w telefonie był ewidentnie żeński, co wskazywałoby na wiedźmę – ale magusy to podstępne szuje. Ich sztuka była wielce uporządkowana, lecz im większy porządek w zaklęciach, tym większy rozsiewały one chaos. Nie raz igraszki magików kończyły się źle przede wszystkim dla wiedźm; magusowie czerpali moc nie tyle z otaczającego świata, co ze światów poza światami czy – jak oni to tłumaczyli – „ze świata leżącego u podstawy wszystkich światów”. W opinii czarodziejów doskonalenie się w sztuce zaklęć polegało na pukaniu do bramy Ideału, czyli do Świata Idei. Przebijanie się do pozaziemskiego źródła przypominało wykuwanie przerębla w cienkim lodzie. Łatwo było o pomyłkowe zarwanie całej połąci lodu i chlupnięcie w odmęt. Jeszcze gorzej, kiedy ten odmęt wylewał się na zewnątrz. Zazwyczaj obrywało się lokalnym wiedźmom, a nie samym odpowiedzialnym

magikom. Świadczyły o tym pogromy, lincze oraz procesy nasilające się w pewnych okresach historii...

– Masz babo placek – powtórnie szepnęła do siebie Lucyna.

Gorzej! Bo placka także nie było... Kornikowej ulżyłby teraz pyszny domowy wypiek, najlepiej z odwróconymi proporcjami: ciasto drożdżowe jako dodatek do poczwórnej kruszonki.

Marzenia marzeniami, ale czas odpowiedzieć na pytanie: co robić? Szukać pomocy u koleżanek obdarzonych wiedz-mowym talentem? Czy wziąć klątwę na przeczekanie? Równonoc już minęła. Każdy kolejny dzień zyskiwał na długości, a domena nocy kurczyła się, więc zwyżkowa magia niedługo wyparuje. A wtedy wysokoprocentowe specyfiki Kornikowej zdołają spić gnoma-wuwuzelniaka w trupa...

Kornikowa wybrała czekanie.

Co więcej, wpadła na genialny w swej prostocie pomysł. Zdecydowała się na swoiste przyspieszenie czasu. Przeciwból-owce nie podolały zadaniu, ale nalewka z kwiatu sosny sprawiła się bez zarzutu.

Pół godzinki – i wiedźma znowuż, bo już trzeci raz, zasnęła.

Nie śnili jej się umięśnieni Grecy ani kserokopiuwane sylwestry z Dwójką...

Niestety, znienacka zadziałała pewna mądrość z repertuaru stuletniej Michaliny: „Do trzech razy sztuka, bo przy trzecim diabeł w okno tve zapuka”.

Faktycznie, ktoś zaczął hałasować za oknem. Wnioskując z harmidru – na podwórku zmaterializowało się całe stadko diabłów.

Wyrwana z drzemki Kornikowa rzuciła okiem na zegar – była siedemnasta z haczykiem. Podrałowała pod okno, jedyne, które się nie wypaczyło i pozwalało otworzyć się na oścież. Lucyna wyjrzała na zewnątrz.

Diabłów nie stwierdziła, chociaż te wszystkie na ciemno ubrane ludzie, jakby horda żałobników, skupieni w grupkach, z tą ich szeleszczącą mową-trawą, wszyscy byli jak wredne biesy, pałętające się na podwórzu bez zezwolenia.

– Bez pozwolenia... – wymamrotała Kornikowa, czując, jak biorą ją zawroty. – Włazą na moją ziemię... Z dziadów pradziadów... No, z ciotków-pociotków... Przyszli, żeby napawać się cierpieniem starej baby czy jak?

W telewizji widziała, że Amerykańce broniący swojej posesji nie cackają się; pewnie już sięgaliby po spluwę, granatnik albo miotacz ognia czy jakie tam uzbrojenie chomikowali po kątach. Ale Kornikowa też miała broń na podoręczniu. Choćby proszek trądzikogenny. Siarczany puder-lachuder. Niesławny żurek Sosnowskiego.

Ale czasami najlepiej działało tradycyjne „paszli won”.

– Ejże! Ludziska! – wrzasnęła Kornikowa, mało nie nokautując samej siebie decybelami. – Co was tak gęsto jak mrówek?! Nie mieliście się gdzie złazić, tylko w moje pokrzywiska?! Irek, pogoń tę bandę! I leć do Pasikonika po więcej ibupromów, łeb mnie zaraz eksploduje od tego zafajdanego gнома! I jeszcze cholerny Pluton...!

Żałobnicy zamruczeli, zdziwieni.

Lucyna Kornikowa zachnęła się głośno.

– A poszli!

Potem trzasnęła oknem i wróciła do przerwane go letargu.



Kiedy obudziła się w okolicy jutrzejszego południa, jeden dzień po swojej nieopatrznie przzerwanej stypie, Lucyna poczuła się jak nowo narodzona.

Zero łupania we łbie – co najwyżej lekki kac i odleżyny.

Migiem zebrała się i wyleciała z domu. Najpierw planowała zahaczyć o centrum wsi, wypytać o podejrzanego garniturowca albo o wrogą wiedźmę, kręcącą się w okolicy. Z nowinami kierowała się również do swoich trzech koleżanek – nie wiedziała, że te zdążyły już rzewnie oplakać jej śmierć.

Taki był przedpoczątek tej opowiadki.

# O PLOTCE WIEDŹMOBÓJCZEJ

Na dobry start nowego żywota Lucyna zapakowała się w wymiętolony sweter i wzięła zimowe buciory – nie chciało się jej przekopywać stosu lżejszych butów-dziurawców, znoszonych kaloszy albo adidasów z odzysku. Potem odprawiła rytuały ochronne, aby odstraszyć ewentualną wiedźmę (albo magusa) od włamania się do jej rudery. Wreszcie pomknęła do centrum wsi. Z uwagi na tuszę nie był to może lekki, wdzięczny bieg gazeli, ale Kornikowa nie przejmowała się estetyką, a prędkość rozwijała nieomal lamparcią.

Skrótem przez pole i zaraz znalazła się na placu przy skrzyżowaniu. Zieleniąca się trawka, kałuże małe i duże oraz obłazący zieloną farbą Pasikonik. Skoro Pasikonik wciąż stał na swoim miejscu, to znaczy, że świat nie zwaśniował do imentu.

Pod sklepikiem Kornikowa wpadła na Staszka Nowaka, młodego policjanta, który parę razy dopomógł wiedźmom w ich przygodach.

– Dzień dobry – zaintonowała Lucyna. – Dobry, dobry?

Chłopak milczał. Był dobrze wychowany, może zbyt nieśmiały jak na stróża prawa, ale praktykując zawód, pomалу wychodził na prostą – stosował do tego zasadę pod tytułem „kogoś innego udawaj i takim się stawaj”. Tym większe było zaskoczenie Lucyny, że Staszek istotnie WPADŁ na nią – brutalnie i bez poszanowania.

Trząchnął kobietę łokciem, poprawił kolanem, przewrócił i poszedł sobie, nawet się nie obejrzawszy.

Kornikowa zbierała się z błota z niedowierzaniem.

– Napaść policyjna! Na mnie! Żeby cię trzynastka ominęła! Nowak, Nowak, głuchy jesteś?!

Staszek zatrzymał się w pół kroku. Na moment obrócił głowę – zobaczył gramolącą się Lucynę, wymamrotał coś pod marnym zaczątkiem jasnego wąsa, po czym z namysłem rozmasował łokieć i pomaszerował dalej.

Kornikowa krzyczała za policjantem, ale ten ani się obejrzał.

To skandal. Bezprecedens. A przede wszystkim – jaka szujowatość!

Z doborowego towarzystwa mętów, pijaczków oraz pasjonatów obiboctwa, siedzących na obrzępolonej kanapie przed Pasikonikiem, nikt nie zwrócił uwagi na całe zajście. Skołowana Lucyna weszła do sklepiku.

Między półkami nikt się nie kręcił. Jedyne klientka stała przy ladzie, a była to odziana w oponiastą kurtkę pani Heleńczykowa. Do spółki z właścicielem Pasikonika kobieta toczyła bój z terminalem płatniczym, który głośnymi piśnięciami odmawiał rozpoznania karty płatniczej.

– No zbliżam ją, zbliżam i co? Kto cię naciągnął na taki szmelc, Krzyśku?

– Ech, nikt mnie naciągnął. Raz upuściłem terminal, może coś mu się tam zgruchotało w środku? Moja wina...

– Niech pan przestanie winić siebie za wszystko!

– Przepraszam, że za często przepraszam. Zaraz to naprawimy.

Panu Krzysztofowi nikt w Dechowicach nie panował,



i to nie z braku oglądy czy poszanowania, wręcz przeciwnie; „Krzysiek”, który niedawno wszedł w posiadanie sklepiku, był człowiekiem wyjątkowo łagodnym. Z wyglądu i z natury przypominał golden retrievera. Absolutnie niegryźliwy, kompletnie bezcyniczny, otaczała go poza tym dziwnie rozcudzająca aura. Nic dziwnego, że ludzie ciągnęli doń z codziennymi kłopotami. W godzinach pracy Krzysiek wysłuchiwał zwierzeń zboliałych staruszek, opowiadał nastolatkom o problemach w szkole, odwiecznego marudzenia na pogodę, a do tego dochodziły nieraz bardziej drażliwe tematy, jak narzekanie na podatki i obecny rząd, narzekanie na wypłaty i obecną opozycję, narzekanie na Polaków, co od lat rujnują Polskę, oraz narzekanie na Europę, która usilnie rujnuje Europę. Sklepikarz zawsze kiwał wyrozumiale głową. Szyja chodziła mu jak sprężyna, a powtarzał przy tym, że nie będzie tak źle. Prawie że intonował hymn optymizmu – pythonskie *Always Look on the Bright Side of Life* – i nawet nie próbował korzystać z rozchwianych nastrojów klientów, żeby nabijać na kasie fantomowe towary.

Kornikowa za punkt honoru uznawała nieproszenie nikogo o pomoc. Wizytę w Pasikoniku traktowała jako element rekonesansu – we wsi działy się rzeczy dziwne, a kto będzie lepszy jako krynica informacji niż człowiek, którego uszy, chcąc nie chcąc, działają jak anteny?

– Dzień dobry, pani Heleńczykowa – powiedziała Lucy-na na wstępie. – Co tak okropnie piszczy? Pieniążki skończyły się na koncie, hm?

Pani Heleńczykowa oderwała wzrok od terminala i spojrzała na Lucynę... albo raczej – w stronę Lucyny... gdyż prześlizgnęła się po niej jak po półce z nieinteresującymi produktami.

Ojoj, pomyślała sobie Kornikowa. Ja nie zniknęłam. Taranujący mnie Staszek jest na to dowodem!

Aby przekonać się na sto procent, Lucyna podeszła i bez ceregieli odepchnęła Heleńczykową sprzed lady. Kobieta wtaranabiła się na stojak ze słodyczami, gdzie przysiadła na szeluszających opakowaniach, jakby nagle opadła z sił.

Mocujący się ze sprzętem Krzysiek podniósł oczy. Zamrugał. Podrapał się terminalem po gładkim podbródku.

– Pani Lucyna tutaj? Coś pani podać...? Może kwiatka...?

Ulga, że ktoś dostrzegł obecność Kornikowej, nie potrafiła rozwiać jej złości.

– Kwiatka? – zachnęła się. – Na co mnie kwiatek?

– No... żeby złożyć go na grobie? Tylko sugeruję.

– Grób? Jaki grób?

– No... to może lepszy będzie zniczyk?

– Zniczyk?

– I zapalka w gratisie...!

– Zwariowałaś, Krzysiek, czy co? – prychnęła Lucyna, łapiąc się za boki. – Czy ja wyglądam, jakbym szła na cmentarz?

Krzyżskowi prowadzenie tego dialogu nie przychodziło łatwo; zdawało się, jakby każdorazowo musiał przypatrzeć się rozmówczyni, żeby upewnić się, że ta istnieje, że nie rozwiała się między słowami niby dym. Teraz dodatkowo przyjrzał się zabloconemu swetrowi Kornikowej.

– Przepraszam, myślałem, że pani właśnie wraca do domu...

– Dopiero co wyszłam z domu!

– No właśnie – i że wraca się pani w nim zatrzasnąć.

Lucyna klasnęła w dłonie tuż przed twarzą rozmówcy. Reakcji było tyle, co u umarlaka, bo mężczyzna nawet się nie wzdygnął.

– Zatrzasnąć w domu! – huknęła. – Jak długo mnie nie było we wsi? Ze dwa dni? I już paplają, że się *zatrzasnęłam*? Taka poszła fama? Myślicie, że kto plotką wojuje, ten od plotki zginie?!

– Nooo... – Krzysiek rozważał to przez chwilę. – W pani przypadku, droga Lucyno, przecież tak się właśnie stało?

– Co?

– No bo pani. Została zatrzaśnięta. Na amen.

– Krótkie to twoje amen, skoro właśnie wylazłam na powietrze!

– Ano krótkie. Ma pani absolutną rację. Może to ja się mylę. Bo czy jest możliwe, żeby nadszedł czas Sądu Ostatecznego? I to w środę. Środa zdaje mi się jakoś mało święta, może poza Popielcową...

Prawda wytoczyła się z podświadomości Lucyny i uderzyła w nią jak rozpędzony pociąg.

– Zaraz! Czy ja dobrze słyszę? Czy tobie, Krzysiu, wydaje się, że ja wzięłam – wzięłam i UMARŁAM?!

– Yhym!

– Uważasz, że niby zostałam zatrzaśnięta – gdzie? W TRUMNIE?!

– No... chyba jednak nie? Skoro pani tak mówi. I skoro w ogóle mówi...

Wtem w konwersację włączyła się Heleńczykowa, która całkiem wygodnie umościła się na siedzisku z M&M's-ów.

– A ja słyszałam, że pani się zaziębiła.

– O!

– Ja słyszałem, że było na odwrót – dodał Krzysiek. – Że dostała pani udaru podczas bezwstydnego opalania się nad Czarnym Stawem.

– Opalania! W marcu?! Ha, toś wymyślił!

– Nie ja to wymyśliłem. Tylko zasłyszałem – jakby plotkę.

– Jaki plotkarz partacz rozpowiada o udarach w marcu?

Na to Lucyna nie otrzymała odpowiedzi.

Zresztą, zaraz odpowiedzi skończyły się jak nożem ciachnął. Starczyło, że Kornikowa we wzburzeniu zawirowała, przemaszerowała przez sklep do lodówki, wyjęła dla siebie jakiś zacukrzony napój i wróciła do lady, a sytuacja się zapętlila.

Heleńcykowska drobnymi kroczkami podeszła do sklepikarza.

Krzysiek podsunął jej terminal.

Machnięcie kartą – pisk protestu, donośny sprzeciw systemu finansowego, nieczeszalającego na załatwienie porannych sprawunków.

– No zbliżam ją, zbliżam i ciągle nic! – jęknęła Heleńcykowska.

– Lada moment to naprawię. Wybacz pani, bo na chwilę się zawiesiłem. Coś mnie dziwnie tknęło. Znowu naszła mnie myśl o tej nieboszczce...

– O-o-o, mnie też dotknęła biedna Kornikowa! Jakby była tu z nami – i faktycznie mnie dotknęła! Żal kobiety, ale mogła nie hasać bez szalika po wsi, przecież to nie jest czerwiec.

Lucyna darowała sobie walkę z wiatrakami.

Świsnąwszy z półki paczkę chrupków (Krzysiek nawet nie spojrzął), kobieta wypadła z Pasikonika i pomknęła w kierunku domostw pozostałych członkiń wiejskiego Siostrzeństwa.



Że została przeklęta – w tej kwestii nie miała już żadnych wątpliwości. W zasadzie... zważywszy na to, że ból głowy

miłosiernie odpuścił... przekleństwo mogło się jeszcze okazać darem od losu. Dwa powody: a) bo dzień od razu robił się ciekawszy, oraz b) jak miło będzie zgnębić wrogą czarownicę! Jęzda dopiero popamięta, że nie zadziera się z Lucyną Kornikową i nie uśmierca się jej tylko na pozór!

Nie ubiegła stu metrów, kiedy rozdzwonił się telefon.

– Halo!

– Jak tam, kochana sąsiadeczko? – zaintonował obcy głos, głos podstarzałej czarownicy lubującej się w zjadliwości. – Dobrze było wypytać innych o plotki? Co słyhać w Dechowicach, hie, hie?

Zęby Lucyny szorowały o siebie niebezpiecznie; cedziła słowo po słowie, a każda sylaba zapowiadała krwawy mord:

– Jak cię ucapię... Włosy ci powyrywam... Małpo...

– Ale jak to? Będziesz karać siostrę po kądzieli? Co ja ci zrobiłam, czego ty żeś nie zrobiła innym? Czyń drugiemu to, co tobie niemiłe! Czy to aby nie jest twoja maksyma?

– Podła oszuścina – wymamrotała Kornikowa. Wiedźmę naszła myśl, że nabijająca się z niej rozmówczyni krąży w okolicy, dlatego ją wypatrywać bzdziągwy, obracając się z telefonem przy uchu. – W moich ploteczkach nigdy nie było krzty magii. Ja plotłam siłą języka i – uważaj! – siłą osobowości. Jeśli chcesz mnie uśmiercić, będziesz musiała to zrobić na żywcą! Znaczy musisz mnie ukatrupić naprawdę, a nie tylko słowami!

– Hie, hie, jesteś tego pewna, siostrzyczko? Przecież to słowa kreują rzeczywistość.

– Przestań z tymi dyrdymałami!

– Nie mówię o czarodziejskich inkantacjach – kontynuowała niezrażona Wiedźma-Z-Telefonu. – Słowa to przecież symbole, co nie? Profesor Mirosław wyłożyłby sprawę dokład-

niej, on zna jakieś tam semiotyki albo inne językologie. Ja powiem prosto, jak krowie na rowie, ty moja mucząca koleżanko: słowa obróciły się przeciwko tobie, a razem z nimi wszystko, co idzie z góry. Cała podstawa rzeczywistości, cała magia symboli oraz wszystkie moce, które przepływają do tego świata prosto z Platona!

– Z Plutona? Co ty znowu z tym Plutonem!!!

– Hie, hie, hie...!

Zdegustowana Lucyna zakończyła rozmowę.

Wiedźma wzniosła pięść w niebo, wyrażając oddalonymu o jakieś pięć miliardów kilometrów Plutonowi, karłowatej planetce, która najwyraźniej sprzyjała wielkiej wiedźmie intrydze. I pomyśleć, że jeszcze niedawno, w gorączkowym śnie, Lucyna tak mocno przejmowała się losem wyklętej planety! Pozostawało żywić nadzieję, że zgubny wpływ wiedźmobójczej plotki nie objął innych czarownic – lecz Kornikowa, wznawiając bieg przez wieś, zaczęła odrzucać opowiadane samej sobie kłamstwa; wystarczyło, że jej pseudośmierć była kłamstwem największym.

# O CEROWANIU NIEDZIURAWEGO

Mirka z zapartym tchem oglądała zakłęty w piasku Czas.

Ziarnko do ziarnka, aż zbierze się miarka – kiedy górne piętro klepsydry opustoszało, a calutki Czas przesywał się na dno, tworząc zgrabny kopczyk, wiedźma czym prędzej sięgnęła do piekarnika i otworzyła drzwiczki. Coś buchnęło ze środka: nie tylko iście pustynny gorąc, ale także dudniący głos, jakby wezwanie z zaświatów. Mirka, dłonią zakutą w pstrokatą łapawicę, wyszarpała z piekarnika blachę ciasta, po czym zakręciła pirueta i przeniosła sernik na stół.

Zapachniało serem i miodem.

– Łał! – odezwał się Antek, wnuk Mirki, przyczajony za kuchennymi drzwiami. – Wyglądało, jakbyś była Indiana Jonesem, babciu! I wyciągała artefakt z zapuławkowanego sarkofagu!

– Na dwoje babka wróżyła, artefakt czy nie – odparła poważnie Mirka. – Zaraz się przekonamy, na ile udał mi się ten egipski przepis.

– Ja się nie znam, ale czy sernik nie zapadnie się od wczesnego wyjęcia...?

– Nie zapadnie, nie zapadnie. Już ja go umocniłam. Zresztą, dzisiaj to i tak bez różnicy.

– Normalnie też „umacniasz” swoje ciasta?

– Skądże. Zawsze piekę bez czarów! No, chyba że mowa o Sabacie, gdzie trzeba sobie kapkę dopomóc, żeby siostrzycz-

ki pozazdrościli... – Mirka zerknęła na Antka. – A co, sugerujesz, że bez wiedźmowania nie robiłabym tak dobrych ciast?

– No co ty, babciu!

– Hm! – fuknęła Mirka, ale zaraz uśmiechnęła się dobrodusznie.

Następnie chuchnęła, rozkręciła solidną, okutą brązem klepsydrę i sypnęła po cieście piaskiem jak cukrem.

Płaska powierzchnia prostokątnego sernika, z lekka zbrązowiała, nagle zatrzęsła się. Ziarenka piasku podskoczyły, zmieniając układ. Formowały się w nieregularne konstelacje, żeby potem nabrać konkretnych kształtów: pióro, gwiazda, ptak. Znaki pojawiały się w kolumnach rozpisanych od góry do dołu.

– Hieroglify? – zdziwił się Antek; wbrew przestrogom Mirki podkraść się do kuchennego blatu.

...rogaczna, skrzydło, łeb lwa...

– Hieroglify – zgodziła się Mirka. – Ech, nieśmiało liczyłam, że starożytne duchy jednak odezwą się do mnie w łacinie!

– A skąd będziesz wiedziała, jakie duchy sprowadził ten... uhm... sernik?

– Pierwsze zlecą się wygłodniałe cienie, tysiącletnie echa z odległej krainy. Zobacz: nie mają siły przebić się na naszą stronę, tylko miziają ciasto eterycznymi językami. Nie dla psa kielbasa! Poczekajmy, może rytuał Kahanopiku przyciągnie jakiegoś grubszego zwierza.

Czekali. W nowocześnie urządzonej kuchni, do tego w biały dzień, nieszczególnie kojarzony z przyzywaniem zmarłych. Siedemdziesięcioletnia wiedźma oraz jej siedemnastoletni wnuk wgapiali się jak spetryfikowani w świeżo wypieczony sernik. Ciasto działało teraz jak antyczny telewizor:



było tabliczką, na której niewidzialny rylec rysował obcy znak za obcym znakiem. Chociaż nie pojmowali ich dokładnego znaczenia, rozumieli, że ukazują im się coraz bardziej ponure znaki.

Kości i żebra.

Przewrócona mumia.

Sierpowaty miecz.

Skarabeusz. Drugi skarabeusz. Trzeci skarabeusz...  
Wysypany na cieście piasek zmienił się w mozaikę obłych chrząszczy.

– Do czego przydają się skarabeusze? – zastanawiała się na głos Mirka. – Poza bimbrem, oczywiście. W wakacje, cztery lata temu, kiedyśmy polecili całą rodziną do Egiptu, odwiedziłam w Kairze Córy Nilu. Poczęstowały mnie bimbrem ze skarabeuszy. Jeden taki robal był zatopiony w butelce. Niewiele pamiętam, do tego gadałyśmy każda po swojemu, ale chyba opowiedziały mi coś o świętych chrząszczach...

– Może sernik przywołuje duchy, ale skarabeusze też są wiecznie głodne – wtrącił Antek z entuzjazmem. – Przecież one potrafią zeżreć człowieka. Wgryzają się pod skórę i suną aż do mózgu!

– Skąd ty to wiesz?

– Jak to skąd, babciu? Z filmów!

Mirka skinęła poważnie głową, nauczona, że rozległa popkulturowa wiedza Antka, czerpana z kina, fantastyki, papierowych RPG-ów oraz różnorodnych odmetów internetu, czasami bywała zgodna z prawdą.

– Miejmy nadzieję, że nasze piaskowe skarabeusze nie ożyją – powiedziała Mirka. Nadal wlepiła wzrok w sernik, ale wzięła w ręce gliniany dzbanek, naznaczony flamastro-

wymi runami. – Dalej, gdzie jesteście, zwiewne duchy *ka...*?  
Wystarczyłby mi jeden!

Chrześcizna-hieroglify nie ustępowały miejsca nowym znakom.

Minęła minuta. Minęła druga.

– Babciu... – zaczął Antek.

– Ciii! Tym razem się uda!

– Wiesz, Egipt leży dosyć daleko. I w przestrzeni, i w czasie...

– Doprawdy? Zawsze powtarzałam, że jesteś asem z geografii i historii.

– Chciałem tylko zapytać, czy takim rytuałem nie dałoby rady sprowadzić kogoś, no wiesz, *bliższego*? Kogoś, kto zmarł zupełnie niedawno?

Mirka westchnęła. I długo nie odpowiadała.

– Może by dało radę, a może nie. To, co teraz przywołujemy, niekoniecznie jest duchem człowieka. Może przemawiać jak człowiek, może objawić się nam w formie prawie ludzkiej, ale niekoniecznie jest tymże człowiekiem, tylko jakąś jego zaświatową kontynuacją, która wraca do nas na wezwanie, krążąc jak ćma wokół zakłętego podarunku. Magusowie – okropne przemądrzalce, ale niektórzy znają się na rzeczy – pewno powiedzieliby, że tak naprawdę nigdy nie sprowadzasz na Ziemię właściwych zmarłych. Możesz wywołać co najwyżej jakieś ich cienie-naśladowców. Cienie tkwiące w połowie drogi między osobą, która kiedyś żyła, oraz... jak oni to mówią?... jej esencją, znajdującą się na wyższym Planie.

Antek tylko kiwał głową, skrzętnie notując w myślach wszystkie zasłyszane rewelacje. Chociaż nie miał magicznych predyspozycji, to w ciągu ostatnich dwóch lat niezłe wtajemniczył się w arкана czarodziejstwa. Jego babcia była do-

świadczoną wiedźmą, jej koleżanki wiedźmowały na całego, a nawet jego dziewczyna była kandydatką na wiedźmę. Z obgadawanymi magusami nie miał dotąd do czynienia, widać zakonspirowali się jeszcze skuteczniej niż ich kobiece odpowiedniki... Ale gromadzenie fragmentów wiedźmowego *lore* w zupełności chłopakowi wystarczało.

Tym razem zrobił wyjątek; kiedy Mirka umilkła, Antek nie zapytał jej o szczegóły wzmiankowanych Planów, esencji, magusów et cetera, ale o kogoś znacznie bliższego:

– Babciu, z tym przywołaniem bliskich zmarłych... Miałem na myśli panią Kornikową.

W kuchni zrobiło się tak cicho, że bucząca lodówka brzmiała jak mocno podkreślony subwoofer... przejeżdżający za oknem samochód zagrzmiał jak odrzutowiec... piasek, tańczący na serniku, był jak grad walący o dach...

Mirka chrząknęła.

– Lucyna. Taaak. Czy przyszłaby do nas? Ona, nie ona, jakiś cień-Lucyna? Czy ona w ogóle rzucała za życia własny cień? Raczej zawsze działała w cudzym cieniu. Przez nią to inni ludzie nagle znajdowali pod nogami dziesięć różnych cieni, bo jej natrętne plotki sprawiały, że w oczach otoczenia stawali się dziesięcioma różnymi osobami... A Lucyna – ech, biedaczka, że też zadławiła się pestką! (Antek uniósł brwi; chciał skorygować babcię, ale dwie sekundy później zapomniał, że w ogóle wspomniała o śmierci od pestki). Doprawdy, nie wiem, co mogłybyśmy sobie z Lucyną powiedzieć. No, może poza wyartykułowaniem tego, co między starymi przyjaciółkami i tak było oczywiste...

Chociaż Mirka zawczasu zabroniła Antkowi towarzyszenia w rytuale, chłopak wiedział, że babciny zakaz nijak

nie przeszkodzi mu w bliskim spotkaniu z wiedźmostwem. Ale teraz, słuchając jej szeptanego lamentu, chłopak poczuł się rozdarty. Czy pocieszyć babcię, słowem albo gestem? Czy może odejść i nie świadkować ani nekromanckim rytuałom, ani żalom Mirki za utraconą przyjaciółką?

Dylemat rozwiązał się sam.

Mozaika skarabeuszy zatrzęsała się. Hieroglify zniknęły, pozostał jedynie pachnący kusząco sernik, hojnie obsypany piachem.

Uchylone drzwiczki piekarnika zatrzasnęły się z hukiem. Potem rozwarły się – i łubudnęły ponownie. Jak wielotonowe płyty nagrobne.

W kuchni zrobiło się ciemno; był środek dnia, za oknami wciąż panowała jasność, ale cienie w domu pogłębiły się.

Mirka odłożyła dzbanek na bok i skoncentrowała się na cieście.

Antek zaczął:

– Czy...

– Ciii!

– Ale, babciu...

– Sza!

– Jakoś tak...

– No!

– Ciemnawo się zro...

– Nie gadaj!

– A piekarnik...

– Antoni! Mówiłam, żebyś trzymał się na dystans!

„Antoni”? Nikt tak się do niego nie zwracał, wszelkie powiązanie z „Antonimi” tego świata było Antkowi obce. Przelotnie zastanowił się, czy babcia myślała o nim czasem jako

o Antonim – ale to nie było teraz ważne. Piekarnik bowiem zakończył walenie drzwiczkami, ciemność wsiąknęła w mury, a sernik eksplodował.

Środek ciasta wybuchł kruchymi fragmentami. Twarogowe szrapnele strzeliły wszędzie wokół, oblepiając meble, ściany, twarz Mirki oraz koszulkę Antka. W powstałej na blasze dziurze pokazał się ruchliwy kształt: stworzenie czarne, poznaczone złotymi pręgami ułożonymi w trójkąt, szerokie na jakieś dziesięć centymetrów, z owadziim łebkiem na jednym końcu i z sześcioma ruchliwymi odnóżami.

– Skarabeusz! – krzyknął zafascynowany Antek, niepomny własnych ostrzeżeń o owadach mózgożercach.

Mirka, chociaż zdarzało jej się gotować zupy z robaków albo ucierać maści z pluskiew, wzdrygnęła się. Potem zawołała:

– *Ka-ba-sha!* Duchu, powiedz przecie, czy już jesteś na tym świecie?

Skarabeusz wbił się jak taran w kawał sernika, ale słodki ofiarunek najwyraźniej nie przypadł mu do gustu. Chrząszcz zdecydował się na ludożerstwo. Błyskawicznym przemarszem wydostał się z blachy. Raz-dwa, i już pełził po rękawie Mirki.

Antek chwycił za pusty rondel.

– Babciu! Wlezie ci do ucha!

– Nie wlezie. Spokojnie. To wysłannik z zaświatów. Chcemy tylko szepnąć coś na uszko...

Czarno-złoty skarabeusz zatrzymał się na barku Mirki i dziabnął ją boleśnie.

Wiedźma dopiero teraz straciła rezon. Zawirowała od stołu do kuchenki i od kuchenki do zlewu. Antek dał susa za babcią, ale nie mógł nadążyć. Kiedy zamachiwał się alumini-

wym rondlem, Mirka uskakiwała. Próbował ją zatrzymać, ale ta wirowała jeszcze szybciej, do tego zaczęła skandować:

– *Heka! Suneka!*

Czy był w tym sens – pewnie nie. Znaczną część repertuaru wiedźm stanowiły zaklęcia improwizowane albo inkantacje życzeniowe.

– *Ksu! Tsu! Psu...!* Aaaa! Gryzie mnie, gnida!

Mirka chwyciła chrząszcza za odwłok, oderwała od ciała z jękiem i cisnęła na ziemię.

Antek dopełnił dzieła i trzasnął agresora rondlem.

Rondel odbił się nieszkodliwie od panczerzyka, a przez rękę chłopaka przeszedł dreszcz. Zaraz obrócił garnek i zamiast użyć go jako obucha, nakrył skarabeusza naczyniem, po czym docisnął go stopą.

Zatelepało.

Antek przełknął ślinę.

– Przez kafle chyba się nie przeżre?

– HUUUUF...

– Babciu, dobrze się czujesz? Mocno cię pogryzł?

– Nieważne. – Mirka przemaszerowała przez kuchnię wte i wewte, deptając resztki sernikowej apokalipsy. – Nie wgryzł się głęboko. Gorzej, że w ogóle mnie ugryzł! Zły duch, wściekły duch... Ale: jaki żywy ten duch! Wezwanie Kahano-piku nie powinno sprowadzać namacalnych form, no, chyba że nie doceniłam swoich możliwości. Przecież nawet na Saba-tach, kiedy moc kipi w żyłach, nigdyśmy nie przywołały żadnego materialnego starożytniaka. Ani Egipt nie zafundował nam krwiożerczych mumii, ani nękania zaklęciami Babilon nie kontratakował lwiołłowymi gigantami. Mam nadzieję, że nie przyzwałam czegoś trwałego...

Uwięziony skarabeusz napałł wściekle na ścianki rondla.

– Uhm – mruknął Antek. – Ten zdaje się być całkiem trwały.

– Wytrzymaj dwie minutki, Antku, ja pójdę do składziku i znajdę coś przeciwko chrząszczom.

Z dwóch minutek zrobiło się pięć. Antek, zmęczony przygniataniem rondla nogą, mimo początkowego oporu zdecydował się usiąść na naczyniu. W zapadłej ciszy wyraźnie słyszał tupanie skarabeusza.

Ale heca! – pomyślał chłopak. Będzie co opowiadać Elizie. Akurat pojechała na Mazury, w gościnę do wiedźm-przywoływaczek, aby spróbować szczęścia z kolejnym odłamem wiedźmiej sztuki. Tyle że mazurskie Siostrzeństwo paralo się głównie sprowadzaniem obrazowych snów, podczas gdy rytuał Mirki przywołał z niebytu rzeczywistego skarabeusza...

Siedząc na ruchliwym garnku, Antek stwierdził, że warto było urwać się z dzisiejszych lekcji. Kto wie, jak Mirka poradziłaby sobie z głodnym chrząszczem. Zresztą, po tym, jak parę dni temu jej bliska przyjaciółka, Lucyna Kornikowa, zającując felerne jabłko, połknęła dwie osy i przyplącała to życiem, Antek wolał potowarzyszyć babci w domu. Rodzice mieli wrócić dopiero za tydzień, a zostawiona na dwustu metrach kwadratowych ich posiadłości Mirka, przytłoczona tragedią, z pewnością odczułaby samotność... Bądź przeciwnie: zaangażowałyby się w swoje rytuały do tego stopnia, że dom zapadłby się pod ciężarem używanej magii jak zrujnowane pałace faraonów.

– Jestem, już jestem. – Mirka stanęła na progu kuchni. W rękę trzymała butelkę ze spryskiwaczem. – Miłosnym aromatom Ropuśnicy nie oparły się nawet muchy starożytnej plagii. Zobaczymy, co powie skarabeusz...

Skarabeusz nie powiedział niczego.

Nie wiercił się w potrzasku, ponieważ zniknął.

Antek pomału odłożył uniesiony rondel. Kuchnia wyglądała jak po przejściu tornada. Mirka, zapatrzona w podłogę, po której powinien dreptać egipski przywołaniec, sięgnęła do rozpaćkanego na blacie sernika i wzięła kawałek do ust.

– Dziwne – mruknęła. – Bardzo, bardzo dziwne...



Seria czarodziejskich porażek Mirki zaczęła się jeszcze przed zgonem Lucyny Kornikowej, jakieś trzy tygodnie temu. Co prawda, poprzednie starania Mirki spaliły na panewce bez dodatkowych fajerwerków; duchy zwyczajnie nie odpowiadały na jej wezwania, mimo ciast, wina, gulaszy i sałatek, mających je w zamiśle sprowadzić.

Ale skąd w ogóle wziął się pomysł na uprawianie cudzoziemskiej nekromancji, kiedy nawet duchy bliższe kulturowo zwykły chadzać własnymi ścieżkami, z rzadka osiągalnymi dla żyjących wiedźm?

Otóż przed trzema tygodniami Mirka dostała wiadomość z Egiptu – współczesnego, rzecz jasna. Skontaktowały się z nią niejaki Córy Nilu. Stanowiły one tamtejszy odpowiednik wiedźmiego Siostrzeństwa, aczkolwiek otaczała je aura większej tajemnicy oraz legenda sięgająca czasów dawno minionych dynastii. Córy miały być w prostej linii kontynuatorkami – i potomkiniami – jakichś kilkutysiącletnich wiedźm, które wciąż czciły starych bogów. Mirka spotkała się z Córą tylko raz, odwiedzając Egipt przed paroma laty. Co dla Antka i jego rodziców było wakacyjną wycieczką po stałych punktach turystycznego programu – piramidy, Sfinks, muzea i meczety, Stary Kair, wszystko to niefortunnie poprzedzone tak zwaną



„zemstą faraona”, czyli egzotyczną biegunką – dla Mirki stało się okazją do odwiedzin u zagranicznych kuzynek po fachu. Wiedźma, której nie zmożła przykra wakacyjna przypadłość, skwapliwie skorzystała z zaproszenia.

Córy Nilu przyjęły ją w iście konspiracyjnych warunkach: w świątynce ukrytej wśród niekończącej się zabudowy Kairu. Miejsce ich spotkań przypominało tajną siedzibę okultystycznej organizacji, która nie narzekała na fundusze. Malowane posągi, wypchany krokodyl, pentagramy i pentagony, piramidki zwisające z sufitu, fontanna źródlanej wody, tryskającej z głębokiej studni pod miastem... (Dla porównania: wiedźmy z Dechowic zwykły urządzać schadзки na wspólnej działeczce, w skromnej altance, rozkładając się na plastikowym stole; zamiast czerpać z bijącego źródła, najczęściej rozlewały tanią lemoniadę).

Wizyta Mirki u egipskich wiedźm, poza poczęstunkiem nalewką ze skarabeusza, zakończyła się również wielką prośbą. Córy Nilu znalazły się w opałach. Co prawda, porozumienie językowe na linii Mirka–Egipcjanki nieco szwankowało, i to mimo pomocy tłumacza, do tego polska wiedźma była nieźle wstawiona, jednak zdołała zrozumieć, że na Córy ktoś dybie. Jacyś egipscy łowcy czarownic, równie legendarni, co praprzodkinie Cór, opisywani przez nie jako „medżajowe egzekutorzy”. Było to bractwo pustynnych tułaczy, którzy od zarania cywilizacji krążyli z ostrzami w dłoni w poszukiwaniu wiedźm.

– Więc czarołowcy działali od zawsze? – Antek zapytał kiedyś babcię.

– To byli inni łowcy... protołowcy... – odparła Mirka. – Zośka Cerkiewska wykladała mi historię prawiedźmostwa.

O ile pamiętam, niegdyś wszystko zdawało się ludziom magiczne oraz boskie. Boskość i magia stały w jednym rzędzie.

– Hm, czyli ci medżajowie nie ścigali wiedźm za bycie wiedźmami, tylko obierali konkretne cele...?

– Ano. Gdybym miała zgadywać, to przede wszystkim ścigali wiedźmy, które mieszały się w politykę.

Mirka na rauszu zgodziła się pomóc zagranicznym koleżankom. Zabrała od nich przyczynę wzmożonego polowania medżajów – był to artefakt zwany Muchostwórcą, rzekomo odpowiadający za jedną z biblijnych plag, o czym wtedy jeszcze nie wiedziała. Wkrótce Mirkę naszły wątpliwości; czy to prawda z tymi bezlitosnymi „medżajami” i czy to naprawdę jest przeklęty artefakt...? Z Córami urwał się kontakt. Przed wylotem z Egiptu Mirka spróbowała wrócić do świątynki – nadaremno. Kilka lat później Muchostwórcą, przechowywany przez Mirkę w piwnicy, prawdziwie ożył, co przyczyniło się do muszej inwazji na Dechowice. Klątwę odparto dzięki kooperacji policyjno-wiedźmio-Antkowej, której szczegóły są tematem innej opowieści.

Muchostwórcą (oraz jego owadzia armia) spopielił się i uleciał z wiatrem. Po artefakcie zostało jedynie wspomnienie.

Ale przed trzema tygodniami, na początku marca, Córy Nilu zniecka odezwały się, upominając o swoją własność.

Zrazu Mirka zareagowała paniką.

Przez dwie noce przygryzała paznokcie.

Siedemdziesiątka na karku – a czuła się jak uczennica przyłapana na braku pracy domowej, i to przez nauczyciela starej daty, z groźną linijką w dłoni.

W końcu przelknęła koktajl wstydu, zmieszania i niepewności, po czym zrobiła to, co należało: zamiast meandrować

wzdłuż rzeki kłamstw długiej jak Nil, Mirka walnęła prawdą prosto z mostu. Żeby dodać sobie kurażu, przedstawiła całą sprawę nie jako własne fiasko w przechowaniu artefaktu, lecz wspaniałą triumf. Oto polskie wiedźmy zatriumfowały nad tysiącletnią zgrozą! Pogromczynie plagi, neutralizatorki kłątwy! Obracanie kota ogonem było sztuką praktykowaną przez wiedźmy od dawien dawna – i tym razem podziałało.

Córy Nilu nie miały Mirce niczego za złe.

„Wiemy. Dziękujemy. Hy-hnw!”, odpisały (wytropiły Mirkę w internecie; dołączyła do social mediów za namową Antka). Potem jednak Egipcjanki dodały, że i tak zamierzają przybyć do Dechowic. Ba, ich trwające od pewnego czasu tour d’Europe właśnie zanosilo je pod granicę Polski, tyle że wschodnią. Mirka uznała, że Siostrzeństwo z Dechowic powinno czuć się wielce zaszczycone... a przy tym stwierdziła, że mimo wszystko jest Córóm Nilu coś winna.

Wówczas zaczęło się kombinowanie.

Muchostwórca był nośnikiem upierdliwej plagi, z której wymazania każdy powinien się radować, ale Córy Nilu, gdyby chciały, pewnie poskromiłyby artefakcik samodzielnie w ciągu stuleci, podczas których go przechowywały. Wypadało im się odplacić jakimś zamiennikiem. Czymś czarownym. Czymś unikalnym. Pamiątką, którą zabiorą z powrotem do domu na znak polsko-egipskiej współpracy. Mirka z miejsca zabrała się do czarowania, i to nie w znanych formach, tylko spróbowała sił na poletku Cór Nilu. Zasięgnęła porad u innych sióstr, przewertowała różne źródła, a przede wszystkim ukierunkowała swoją wolę na obcą szkołę magii. Niewiele z tego przyszło.

Ale po kolei.

Mirka wywoływała resztki esencji Muchostwórcy, mogące tkwić gdzieś w Dechowicach. Bez skutku; tylko się zaziębiła, łażąc po podmokłych terenach przy Czarnym Stawie.

Zaklinała piasek, starając się oswoić przyjazne tornadko. Bezowocnie; tylko rozbuchała po okolicy kupę piachu, jaka leżała na budowie u sąsiadów.

Pomyślała, żeby wyekstrahować ze swoich kotów jakiś mityczny pierwiastek świętego kotostwa. Nie udało jej się; na rytualne hołubce Mirki kocur imieniem Biały zareagował wyniosłym milczeniem, Łupka prysnęła jak niepyszna, a Hege-mon mało nie wydrapał Mirce oczu.

Eksperymentów było więcej. Do czasu, aż w Dechowicach z siłą megatony nie gruchnęła wieść o nieszczęśliwym wypadku... przypadku... chorobie...? Lucyny Kornikowej. (Sprzeczności dotyczące tego zgonu jakoś nie dopraszały się o wyjaśnienie). Słyszac o śmierci koleżanki, Mirka przygasła. Na jeden dzień. Bo na drugi oddała się egipskiemu hokus-pokus ze wzmożoną determinacją. Chwyciła się nekromancji; po długiej telefonicznej konsultacji z kronikarskim Siostrzeństwem spod Elbląga zdobyła apokryficzne fragmenty *Księgi umarłych*, czyli rubrykę z zaklęciami, które opatrzone dodatkowymi zakazami. Stąd właśnie wzięły się sernik-bomba i nieprzyjazny skarabeusz.



– Babciu... – zaczął Antek, kiedy sprząтали kuchnię. Koty pomagały w usuwaniu sernika z mebli, a blacha z zapiaszczonymi resztkami powędrowała na taras, na wypadek gdyby jeszcze parowała z niej magia.

– Słucham, Antku?

– Może jednak odłożysz na bok egipcjanowanie?

– Odłożyć?

– Tak.

– Już ci mówiłam! – zaperzyła się Mirka. – Ja się nie poddam! Polska wiedźma nie będzie świeciła oczyma przed zagranicznymi koleżankami!

– Dobrze, rozumiem! Ale pomyślałem sobie, że polska wiedźma powinna raczej brać się do czegoś, na czym zna się najlepiej.

– Czyli do czego?

– Polacy nie gęsi i swoje mitologie mają, co nie?

– Mitologie? Masz na myśli słowiańskie wierzenia? Strzygonie i planetniki, Nawie i Wyraje?

– Strzygi kojarzę. Planetniki niekoniecznie. Ale sama widzisz, babciu! Może wypadaloby wręczyć Córom Nilu pamiątkę po Polsce – która byłaby POLSKA!

– Hm. Nigdy nie pałam ślepą miłością do bestiariusza naszych przaprzodków ani do ich obrządków, mimo że na Sabatach maczałam palce w wiedźmich adaptacjach starych zwyczajów. Bawiłyśmy się w Kupały, białomagie albo jedno-nocne swańby... A jednak zawsze odczuwałam, że to wcale nie jest „polska” mitologia.

Antek uniósł brwi.

– A ile dzisiejszy Egipt ma wspólnego ze swoją mitologią? Przecież dlatego mity nazywa się mitami.

Mirka chciała polemizować, choćby z przekory... ale zawahała się.

– Może masz rację, Antku. Chyba powinnam zasięgnąć inspiracji w tym, co krąży wokół nas.



Ogarnąwszy pole sernikowej masakry, Mirka zachęciła wnuka, aby ten rozejrzał się po internetowych źródłach w po-

szukiwaniu okołosłowiańskich klątw, uroków albo artefaktów-samoróbek. Antkowi nie trzeba było dwa razy powtarzać. Zaraz poleciał przeczesywać fora fanowskie, fora wielbicieli fantastyki, fora domorosłych okultystów, fora teoretyków spisku, do tego podjął się zmierzenia z ławicą artykułów i zatręśnięciem komentarzy, często wzajemnie sprzecznych. Do tego zapowiedział, że zadzwoni do Elizy, która przecież zadaje się z Siostrzeństwem parającym się jarmarcznymi sztuczkami – a nuż coś z tego przyjdzie?

Mirka zrobiła sobie herbatę i wyszła na taras. Słońce przyświecało od samego rana; niebo błękitniało, sadzawka się skrzyła, wokół zieleniła się niezachwaszczona trawka. Przeszła się kamienną ścieżką dookoła domu: trzy okrążenia dla orzeźwienia. Za drugim razem na tarasie natknęła się na koty, krążące z nadzieją wokół nakrytego przezroczystą pokrywą sernika. Co je tak wzięło na ciasto? Bez ochyby kociska wyczuwały szczyptę magii, nie bez powodu towarzyszyły wiedźmom od zarania dziejów. Mirka przepłoszyła zwierzaki. Zrobiła jeszcze jedną rundkę naokoło domu – i znowu na tarasie zastała nieproszonego łakomczucha, chociaż tym razem to nie był Biały, Łupka albo Hegemon. To był żywy trup, znaczy – Lucyna Kornikowa.

Mirka zgubiła gdzieś krok, błędnik wykoleił się. Upuściła kubek z resztką herbaty. Sama również runęła. Na szczęście rozłożysty krzak zamortyzował upadek.

– Co ty, koleżanko? – zapytała Kornikowa, ciamkając sernik. – Od rana chodzisz na bombie?

Mirka usłyszała jej słowa, ale jakby ich nie zarejestrowała. „Bomba”? No tak, chodziło o rozsadzenie sernika. Koleżanka? No tak, Mirka była koleżanką Kornikowej, a Kornikowa była jej koleżanką.

– Lucyna...? – wymamrotała Mirka. Coś tu było nie tak. Coś bardzo oczywistego. – Lucynko. Ty przecież...?

– Ja, ja.

– ...nie żyjesz!

– Taa – westchnęła Lucynka, Której Nie Powinno Tutaj Być. – Widzę, że z tobą nie pójdzie mi lepiej niż z tymi cymbalami w Pasikoniku. Ale ciasto – palce lizać!

Ciasto! Sernik, który zniknął obecnie w pracującej jak maszyna paszczy Lucyny Kornikowej! To jeszcze Mirka potrafiła pojąć – na tym musiała się oprzeć.

– Ciasto... Uważaj, czym się częstujesz, bo upiekłam ten sernik dla egipskiego ducha.

– Egipskiego? Ha! Więc przepis też jest egipski? To by tłumaczyło dodatki. Sypnęło ci się za dużo piasku, co? I pewno nawrzuciłaś do ciasta daktyli.

– Daktyli...?

– Takie o, czarne, pomarszczone. Wyglądają jak jakieś chrząszcze. Ale nieźle chrupią między zębami.

To rzekłszy, Lucyna wyszarpała palcami kolejną nierówną porcję sernika, w której faktycznie tkwiło coś obłego i dziwnie skarabeuszowego, po czym łyknęła kawałek ciasta na dwa kęsy.

Mirka patrzyła jak urzeczona.

Lucyna przetarła usta rękawem.

– Może poczęstujesz mnie herbatką? Albo kawusią z tego waszego superekspresu?

Kawka? Kawka i ciasto szły w parze; Mirka przez moment rozważała, co z tym fantem zrobić. Lucyna zdążyła się zniecierpliwić.

– Ech, Mirka! Zawsze była najrozsądniejsza z naszej czwórki, a teraz wychodzi szydło z wora! Idę spróbować szcęc-

ścia z Elżbietką i Michaliną. Może któraś okaże się mniej zazadzona od ciebie.

Kornikowa zniknęła, wypuszczając się sama za furtkę – tak jak sama się przez nią wpuściła.

Mirka jeszcze długo stała nad leżącym w trawie kubkiem. Kontemplowała słuszny mariaż słodkiego ciasta oraz gorącej kawy, a także tożsamość osoby, z którą często zasiadała do takich deserków... I z którą to osobą, gdyby tamta ciągle żyła, Mirka z chęcią podzieliłaby się ciastem.

Ech, Lucyna! Że też dałaś się porwać Kostusze...!